

tygodnik katolicko-narodowy dla stanu średniego.

W Poznaniu, dnia 22go Sierpnia 1879.

Wychodzi co Piątek.

Wydawca:
Wojciech Simon
w Poznaniu.

Przedpłata ćwierćroczna 3 złp. = 150 fen.,
pod opaską 3½, złp. = 175 fen.
Ogłoszenia po 15 fen. od wiersza drobnego.

Redaktor:
Jan Nep. Białoszyński
w Poznaniu.

52. WOJAK.

Rzy mój gniady, ziemię grzebie,
Puśćcie, czas, już czas!
Ciebie, ojczy, matko ciebie,
Siostry, żegnam was!

Dumnie patrzy tam po błoniu,
Złością wstrząsa grzbiet,
Śpieszę, śpieszę, luby koniu,
Skaczę, lecim wnet.

Z wiatrem, z wiatrem, niech drżą wrogi,
Krwawy stoczmy bój!
Raźniej, zdrowiej wrócim z drogi,
Z wiatrem, koniu mój.

Tak, tak, dobrze nam w zawody;
Jeśli polędz mam,
Sam tu, koniu, do zagrody,
Wolny wróc tu sam...

Słyszę jeszcze sióstr wołanie
Zwróć się, koniu — stój!
Nie chcesz? — lećże — niech się stanie,
Leć na krwawy bój!

Stefan Witwicki.

Po pierwszym rozbiórce.

(Ciąg dalszy).

33. Przygotowania do wielkiego dzieła.

Rok 1790 jest istotnie rokiem wielkich przygotowań do znanej i pamiętnej po wszystkie czasy konstytucji 3go Maja z r. 1791go, konstytucji, która była niejako testamentem uniierającej Ojczyzny. Przy-
patrzmy się tym przygotowaniom.

Nasamprzód wniesiono o lepsze urządzenie sejmików, a mianowicie o zastąpienie ich od przewagi magnatów; bo kto sobie kupił na sejmiku „kręski“ od braci szlachty, ten je też miał i kupione na sejmie walnym. Wszak i dziś bywają tak skrzywione umysły, któreby chciały, żeby powiaty wybierały sobie posłów bez oglądania się na potrzeby „całego kraju“. Takie samolubstwo, takie oglądanie się tylko na siebie, taka pycha i chęć rządzenia, choć się do tego nie ma zdol-

ności: były zawsze w kraju naszym źródłami do największych klęsk publicznych.

Po sejmikach miano urządzić cały sejm, następnie sądy sejmowe, straż od sejmu do sejmu rządzącą, a następnie wszystkie komisye jedną po drugiej, więc policyjną, wojskową, edukacyjną, skarbową, komisye wojewódzkie itd. itd.

Wszystkie te starania patryotów rozbijały się przecież o opór tych co starego chcieli porządku; chciano nawet rozwiązać Konfederacyją i sejm, i tym sposobem zniszczyć dotychczasowe uchwały.

Trzeba było przeto użyć wszelkich godziwych sposobów i nie wiedzieć jakiego zakłęcia, żeby nie rozbić dzieł co dopiero rozpoczętych.

Projekt, jaki deputacyja ostatecznie wniosła, nosi na sobie tytuł: *Prawa Konstytucyjne, a w nich Kardynałne*. W 89ciu paragrafach pospisywane tam zostały zasady, które ostatecznie sformułowano ściśle w Konstytucyi trzeciego Maja. Projekt ten okrywa sławą autorów jego, kraj cały i potomków w najdalsze pokolenia.

Zapewniono tam:

- 1) każdemu wolność religijną.
- 2) Opiekę rządową dla każdego stanu, tj. szlacheckiego, miejskiego i wiejskiego;
- 3) zupełną niezawisłość kraju od wpływów zagranicy.
- 4) Przypisano sejmom samowładność, które „gotowe“ tj. bez wyborów nowych po sejmikach zawsze zwołane być mogły.

5) Zatrzymano potrzebę *jednomyslności* tylko do projektów kardynałnych, ale do podatków potrzeba było tylko trzech czwartych części głosów sejmowych.

6) Tron polski miał być i nadal elekcyjnym, ale tylko w rodzinach, tj. po wymarcu jednej rodziny dopiero drugą wybierać musiano.

7) Król miał komendę nad wojskiem.

8) Siła zbrojna nie mogła być mniejszą nad *sto tysięcy* żołnierza.

9) Wolność osobista i wolność głosu oraz piśma były zapewnione, a szlachcie nie tracił *klejnotu*, choć zarabiał oprócz ziemi na urzędzie lub w ogóle w jinym zawodzie. Miasta dostały także prawa osobistej wolności, prawa nabywania ziemi itd. itd. Wło-

ścianin mógł opuszczać niedobrego pana, a cała wieś przenieść się mogła, gdyby pan dopuścił się zabójstwa na podwładnym sobie wieśniaku lub gwałtu na wieśniaczce.

Dnia 28go Września *zrzucono gwarancyją moskiewską* z lat 1768go i 1775go i zapisano to zrzucone między prawa kardynalne.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Olitypa, czyli Ptak Stepowy.

(Ciąg dalszy.)

Przeczytawszy to Reginald, spojrzął pytający na misyonarza. Ten dorozumiał się, że go zadziwił napis: „Od ojca i nauczyciela.” Rzekł więc:

— Niech cię to nie dziwi, że nazwałem się ojcem. Olitypa nazywa Orła wojny i Wingenunda braćmi, a mnie ojcem. Nie widziałem powodu, czemubym nie przyjął tej nazwy. Że tych nazywa braćmi, nic dziwnego, ponieważ ojciec Orła wojny ją wychował razem z nim i z Wingenundem. Już od wielu, wielu lat zostaję pomiędzy Delawarami, a ztąd miałem sposobność zająć się jej umysłowem ukształceniem o ile sam umiałem i o ile okoliczności dozwalały.

Olitypie zaszczyty oczy łzami.

— Tak, mój ojciec, — rzekła, — tyś mi zawsze był ojcem, przyjacielem i doradcą. Tyś mi pokazał inny świat, którego bez ciebie zapewniebym nie była poznała. To, czém jestem, zawdzięczam tylko tobie. A lubo i dla indyańskiego mego ojca czuję wdzięczność i braci moich kocham, jednakże bez ciebie byłabym zdziaczka.

To powiedziawszy, pożegnała tak misyonarza jak i Reginalda, i śpiesznie udała się do wioski indyańskiej.

Kiedy pozostali sami, Reginald zwrócił się do misyonarza z zapytaniem, czy zna pochodzenie i miejsce urodzenia dziewczęcia.

— Nie znam, odpowiedział misyonarz, — ale nie ulega wątpliwości, że to córka angielskiego osadnika, którą Indianie podczas zbójckiego napadu uprowadzili ze sobą. Jednakże byłoby niebezpieczną, objawić podobne domysły, gdyż Delawary czczą to dziewczę jako dar Wielkiego Ducha. Zaraz w pierwszych dniach naszej znajomości poznałem jej wyborne zdolności i wtedy zadałem sobie miłą pracę wykształcenia owych talentów, aby kiedyś przyniosły dobre owoce. I już przyniosły. Nauczyłem ją znać Boga chrześcijańskiego, a ona tę naukę, lubo wolno, stara się w młodociane umysły Delawarów zaszczepiać. Nawet nauczyłem ją szczepienia ospy, i jej to dziełem, że całe pokolenie Delawarów wolne jest od owęj straszliwej choroby. Zna przytém właściwość wszystkich ziół lekarskich, jakie tylko w tych okolicach napotkać można. Ztąd też Indianie uważają ją za istotę wyższą, zesłaną im na pomoc od Wielkiego Ducha.

— Rozkoszne życie! — wyrzekł Reginald; po chwili jednak wstrząsnawszy głową, dodał: — a jednak

nie podobna, żeby taka luba istota miała na zawsze pozostać pomiędzy dzikimi.

— Losy ludzkie są w ręku Boga, — powiedział na to misyonarz, — i wiedział On, dla czego Olitypę umieścił pomiędzy Indianami. Niejednego dzikiego odwołała ona od krwawej zemsty: na jej prośbę nie jeden podniesiony tomahawk, mający co tylko zadać raz śmiertelny, opadał bez szkody. Nawet jest nadzieja, że dla niej Wingenund i inni młodzieńcy indyańscy przyjmą wiarę chrześcijańską.

Podczas tej rozmowy Reginalda z misyonarzem w osadzie Delawarów zupełnie inna toczyła się sprawa. Orzeł wojny zebrał starszych na naradę nad bardzo ważnym przedmiotem. Przyczyna tego była następująca. Wingenund, który oddalił się od osady, ujrzał Indianina zupełnie obcego, a z ciekawości, coby go tu sprowadziło, cichaczem szedł za nim, aż doszli do najgęstszej i najdzikszej części lasu. Tu w głębokiej parowie usiadł ów Indianin na pniu drzewa i ciche, syczące wydał po dwakroć hasło. Nie długo taki sam znak dał się słyszeć z przeciwniej strony i wkrótce Wingenund ujrzał zbliżającego się innego Indianina, a był nim... Mahega. Obaj Indianie poczęli rozmawiać, ale na nieszczęście Wingenund znajdował się za daleko, aby mógł cośkolwiek zrozumieć, a nawet nie mógł rozpoznać dyalektu, w którym się rozmowa toczyła. Po krótkiej rozmowie Indianie się rozeszli.

Obcy Indianin odszedł w inną stronę, ale Wingenund poszedł za nim, a lubo przybysz co chwila stawał i słuchał, ażali go kto nie śledzi: jednakże młodzieniec tak był szczwanym, że się nie zdradził. Ku swemu zadziwieniu zobaczył, że obcy Indianin doszedł do obozu, w którym znajdowało się kilkunastu także nieznanomych czerwono-skórych. Wingenund nie mógł na żaden sposób rozpoznać, do jakiego należą szczepu, ale na szczęście znalazł zgubiony mokasyn (trzewik), który zabrał i przyniósł ze sobą do Orła wojny.

Ta okoliczność była powodem zgromadzenia starszych ludu Delawarów. Orzeł wojny odebrał mokasyn, badał go kilka sekund, a potem rzekł cichym, ponurym głosem: Dakota!

— Tak — rzekł po chwili z gniewem — szczep Dakota znajduje się w lesie i jak wilk stepowy wychodzi na rabunek. Ale zły duch wstąpił i w Osagów; oni to naszych nieprzyjaciół sprowadzili ku naszej zagładzie, a na języku Mahegi jest kłamstwo.

Z przypominanych sobie teraz pojedynczych wypadków napewne zrozumiano, że Osagi już od dawna postanowili zerwać związki z Delawarami i tylko czekali na sposobność, aby rozpocząć kroki nieprzyjacielskie. Ale czemuż Mahega spiskuje z Dakotami?

— Przyjaciele — rzekł po chwili Orzeł wojny — w obozie naszym jest wąż, a język Mahegi jest rozdwojony! Jeszcze dwa razy miesiąc się nie odmłodził, kiedy on tu w tym samym wigwamie mówi o Olitypie, ptaku stepowym. Mówił on, że jej głos, to muzyka, i prosił o nią za żonę dla siebie!

Przy tych słowach takim zawrzał gniewem, że silnie zgrzytnął zębami, a każdy muszkuł, każdy nerw zdawał się drżeć w jego ciele. Uhamowawszy się, zaczęła szczegółowo opowiadać o Mahedze i staraniu się

jego o rękę Olitypy. Zapytany, jaką dał Mahedze odpowiedź, odrzekł Orzeł wojny:

— Orzeł wojny odpowiedział, że to dziewczę jest Wielką Medycyną i darem Wielkiego Ducha, i że nigdy nie może być żoną naczelnika Osagów. Mahega odszedł, nic nie mówiąc, ale z ocz jego tryskało wiele złości. Teraz niech sobie wyszuka żony pomiędzy swemi psubratami, Dakotami.

Zgromadzenie uchwaliło w końcu, żeby pilnie śledzić postępki Osagów i mieć się bardziej na ostrożności, a nazajutrz znowu się zgromadzić.

Po tej chwili rozeszli się wszyscy.

IV.

Mahega.

Noc przeszła spokojnie; nie się takiego nie wydarzyło, coby mogło być dawniejszy tryb życia odmienić. Słońce weszło w całym przepychu i ozłociło wierzchołki drzew, a krople rosy połyskiwały, niby po stepie rozrzucone perły. Lekkućki zefirek, skacząc z kwiatka na kwiatek, otrząsał perłowe kropelki, a prześliczne kolibry połyskiwały złotem pomiędzy rozwiniętymi, wonnemi koronami kwiatów i róż stepowych.

Olitypa, niby szmaragdowy koliber, już ze wschodem słońca pobiegła z książką w rękę na to samo miejsce, gdzieśmy ją wczoraj widzieli. Otworzyła książkę i zatopiła się w niej na chwilę. Po chwili jednakże wzniosła swe oczy i powiodła niemi po okolicy. Widok był też nadto wspaniały, aby, lubo jej oko nie raz już takim napawało się urokiem, umiało na nowo spoglądać z uwielbieniem na wspaniałe obrazy natury. Przejęta co dopiero wyczytanemi w Piśmie świętym słowami i napawana urokiem dzieł Bożkich, zatopiła się w myślach.

Wtém usłyszała po za sobą stąpanie, jakby zbliżającego się człowieka. Odwróciwszy głowę, ujrzała olbrzymią postać Mahegi, który z przeciwnej zbliżał się strony. Mahega doszedł do Olitypy na kilka kroków i stanął tak, że go tylko od niej mały, miałki i wązki oddzielał strumyczek. Olitypa nie była bojaźliwą, a z drugiej strony za nadto była nawet uczciwą, aby komukolwiek złe przypisywać zamiary; jednakże dzisiaj spojrzawszy w twarz Mahegi, uczuła drżenie i serce jej mocniej zabiło, ponieważ w twarzy olbrzymiego naczelnika spostrzegła jakąś niewypowiedzianą, niewytłómaczoną zmianę, na której widok mimowolnie dreszcz ją przechodził. Jednakże nie zdradziła tego po sobie, tylko skoro Mahega stanął i dumnie ją pozdrowił, ona nawzajem tylko głową kiwnęła, i nie rzekszy słowa, dalej czytała w książce. Jednakże Mahega nie przyszedł aż na to miejsce bez celu, dla tego nie chodziło mu tylko o pozdrowienie, ale o zawiązanie dalszej z Olitypą rozmowy. Najprzód, ułagodziwszy ją swą mową, ile tylko było można, zaczął dla niej prawie pochlebstwa, na jakie tylko kwiecista mowa Delawarów zdobyć się może. Olitypa jednakże przyjęła je całkiem zimno, a nawet, żeby się natrętnika pozbyć, powiedziała mu, że właśnie czyta rozkazy Wielkiego Ducha, dla tego nie chce, żeby jej przeszkadzano. Mahega

tém jednakże nie zrażony, prawił swoje coraz dalej, aż w końcu oświadczył jej, że ona musi zostać jego żoną, a za to on jej wigwam dziczyzną napełni i skalpami wystroji.

Olitypa zadrżała, ale hamując wzruszenie, odrzekła mu z udanym spokojem, że jego żoną stać się nie może, ponieważ ich sposób życia całkiem odmienny. Podczas kiedy on tchnie tylko żądzą łupu, wojny i rozlewu krwi, ona natomiast tylko chce się oddać ci chemu życia, na ośłodę nieszczęśliwych i ku gojeniu ran zadanych.

Rozdrażniony stanowczą lubo delikatną odmową, obsypał ją teraz groźbami wszelkiego rodzaju; nazwał ją podrzutkiem, niewolnicą, dodając, że pomimo jej związku i przyjaźni z „białymi“, jednakże jego żoną zostać musi, chociaż właściwie na taki honor nawet nie zasługuje.

Obrażona takimi wyrazami Olitypa, podniosła się i rzekła stanowczo:

— Olitypa jest sierotą, ale zostanie prędzej niewolnicą każdego innego męża, aniżeli żoną Mahegi.

Indyanin rozśmiał się głośno na te słowa i odpowiedział:

— Mowa Olitypy jest gorzka, jednakże Mahega śmieje się z jej gniewu. Ona teraz jest sama i bez obrony; jakże, czy Olitypa sama pójdzie do wigwamu Mahegi, czy ma ją zaniść jaki wojownik?

Po tych słowach przystąpił aż do samego brzegu rzeczki. Olitypa przełknięta, wyrzekła:

— Nie jestem samą! Wielki Duch jest przy mnie, w obec którego potęga Mahegi znaczy tyle co żdźbło, a jego siła nie jest ani siłą niemowlęcia. Patrz! — tu wydobyła z za sukni sztylet, — patrz! Olitypa nie jest bez obrony; jeśli Mahega jeszcze da krok jeden, natenczas Olitypa ten sztylet utopi we własnym sercu, a wielki Mahega będzie odtąd uważanym od swego ludu za mordercę niewiast.

Mahega widział, że siłą niczego teraz nie dopnie, że trzeba mu ucieść się do podstępów; zawołał więc szyderczo:

— Olitypa spuszcza się na ostrze sztyletu, — Mahega śmieje się tylko z tego.

Potém zwróciwszy się, rzekł głosem takim, jakby mówił do stojącego po za nim Indyanina:

— Schwyć ją i przytrzymaj za rękę!

Dziewczę zadziwione i przerażone tém, że się po za nią ktoś znajduje, o którym nie wiedziała, obejrzała się, a wtém jednym skokiem już Mahega był obok niej, objął ją rękami przez pól, ścisnął i zawołał wśród śmiechu:

— Nie bój się, nie ma tu nikogo prócz Mahegi. Ale Olitypa teraz jest Mahegi branką!

Olitypa, widząc się ujętą i bez obrony, bez nadziei ratunku, zakrzyknęła przeraźliwie z bojaźni i rozpacz.

Ale ratunek przybył jej prędzej i wcale z innej strony, aniżeli się mogła spodziewać. Nagle bowiem zaszumiło coś w krzewinie — a skok zgłodniałego tygrysa na zdobyc nie może być strasliwszym, jak było uderzenie Reginalda na Mahegę.

Reginald wyszedłszy rano, mimowolnie zwrócił swe kroki w to samo miejsce, gdzie wczoraj z Olitypą się widział, nie wiedząc, że i ona dzisiaj znowu tam się znajduje. Właśnie zbliżał się aż do tego samego punktu, gdy wtém jakaś rozmowa, niedokładnie do uszu jego dochodząca, obudziła jego uwagę. Ostróżnie począł się zbliżać — dosłyszał słowa Olitypy i właśnie na sam czas, na jej okrzyk zgrozy, nadbiegł jej z pomocą. Zapomniawszy o tém, że bezbronny, rzucił się na dzikiego olbrzyma i tak silnie ścisnął mu gardziel, że ten musiał dziewicę puścić. Mahega jednakże zatrzymał w ręku sztylet, który wyrwał Olitypie i ugodził nim Reginalda w ramię i rękę. Pomimo tego ten jednak Indyanina nie puścił, ale pchał swego przeciwnika, aż tenże zawadził i nogą o korzeń i tak gwałtownie padł na wznak, że mu się krew' rzuciła strumieniem, tak nosem jak ustami. Reginald, również połączony, zwałił się na ziemię, ale nie szkodliwie, a zerwawszy się, wydarł Mahedze sztylet, wznosił go do góry i już miał nim w piersi przeciwnika uderzyć, gdy wtém uczuł lekkie dotknięcie ramienia. Obejrzawszy się, ujrzał Olitypę bladą jak marmur, klęczącą tuż przy nim.

— Nie zabijaj go, — rzekła cichym głosem, — Bóg niebieski nie każe mścić się nad naszymi nieprzyjaciółmi!

Reginald na te słowa opuścił sztylet, ale nie mógł do tyła gniewu swego pohamować, aby Mahegi w jakikolwiek sposób nie ukarał. Rzekł tedy:

— Na prośbę twą, Olitypo, daruję życie nędznikowi; jednakże pomnij, że skoro on przyjdzie do przytomności i siły, zemsta jego nie będzie miała granic. Niechże jednak wie, że mogłem go zabić, a przecież darowałem mu życie, — niech moje wzgardzenie jego życiem będzie dla niego karą.

Po tych słowach uciął mu ozdobny kosmyk na czubie głowy i położył go tuż koło niego, tak że ten, skoro przyjdzie do przytomności, koniecznie zobaczy go będzie musiał. Dokończywszy swój zemsty, odszedł z Olitypą ku wiosce.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Car Iwan Groźny i metropolita Filip. Szkic historyczny.

Historia mała tylko na podobnych władców, jakimi byli przed półtora tysiącem lat Neron, a przed 300stu laty Iwan IV Wasilewicz, z przydomkiem *Groźny*, car Rosyi. Żaden ze żyjących narodów nie ma historyi swój splamionej takim okrutnikiem, jakiego posiadała właśnie Rosya — ta Rosya, która do dzisiaj jeszcze nie umiała się otrząsnąć z tyraniji i despotyzmu.

Iwan IV Groźny jeszcze był dzieckiem, kiedy ojciec jego Wasili Iwanowicz r. 1534 umarł. Bojarowie cesarstwa, jako opiekunowie i współwładcy nieletniego Iwana, pozwalali młodemu carowi na wybryki wszelkiego rodzaju, a ponieważ matka jego, Helena, starała się na syna wpływ wywierać, dla tego niedługo otruta umarła. Teraz rodzina Szujskich całkiem Iwana

opanowała i za jego pomocą wzmogła się do wielkiego znaczenia.

W siedemnastym roku życia koronowano Iwana, przez co tenże został władcą absolutnym, a Szujskich panowanie się skończyło. Pragnął tego bardzo naród, spodziewając się, że pod carem będzie w kraju lepiej, aniżeli kiedyby miał kilku carów naraz. Rzeczywiście też Iwan, objąwszy rządy 1547 r. zdawał się urzeczywistniać nadzieje narodu. Ale było to tylko jakimś momentalnym popędem, może dla tego, że nie wiedział na razie, jakim sposobem dać się narodowi we znaki. Zachodzi tu zupełne podobieństwo pomiędzy nim a Neronem, który również z początku panowania obiecywał dobre nadzieje, ale potem okazał się gorszym od zwierza drapieżnego. Iwan już dla tego samego nie mógł się okazać w swęj zwierzęcej postaci, ponieważ dwóch zacnych mężów: Adaszew i Sylwester, jeszcze wielki wywierało wpływ na młodego cara i wstrzymywało go przez niejakiś czas od gwałtów i okrucieństw. I tak Sylwester — duchowny — starał się w umyśle cara zaszczerpić religijność i bojaźń Bożą. Rzeczywiście, nauki i dobry przykład nie były bez skutku, ale niestety! miały skutek całkiem zamiarowi Sylwestra przeciwny, albowiem Iwan stał się bigotem, zabobonnym, bezrozumnym fanatykiem, nie umiejącym rozróżnić wiary od zabobonu, sprawiedliwości od okrucieństwa. Zwykle wszystkie płaskie, podłe dusze nie mają ani odrobiny męstwa; również i Iwan był tchórzem, jakich trudno znaleźć. Nigdy on nie stanął do bitwy, nigdy przeciwnikowi nie zajrzał w oczy, ale zwykle podczas wojen, mianowicie z Polską toczonych, uciekał w najodleglejsze zakątki i tam rzucał się u stóp posągów błagając niebios z płaczem o zwycięstwo, którego niebios a jednakże mu odmawiały.

Nastał teraz najgorszy peryod dla Rosyi. W Iwanie obudziło się podejrzenie, że go niektóre rodziny kniaziów chcą zgładzić ze świata. Jak wściekłe zwierzę rzucił się teraz okrutnik na naród, mordował, palił i wycinał wszystko, całe wsie i miasta obracał w perzynę.... wymordował mnóstwo bojarów i kniaziów, których się obawiał. Adaszew i Sylwester nie mogli rozjuszonego zwierza więcej hamować, ponieważ musieli iść na wygnanie i na wygnaniu umarli. Otoczył on się strzelcami, czyli żołdactwem, które od czasu do czasu urządzało polowanie na ludzi, i strzelało bez wyjątku, kogo im się podobało: Strzelcy owi stali się postrachem całej Rosyi, albowiem pokazywali się tu i ówdzie z nie-nacka, a biada temu ktonie uciekł — nie przepuszczali z rozkazu cara ani starcom, ani niewiastom, ani dzieciom, ale rozlewali krew' niewinną gdzie i jak mogli. Sam car przemienił się teraz w drapieżnego zwierza. Jeżeli nie patrzył, jak ścinał ludzi, jak w kawałki cięto, a nawet sznurami piłowano: natenczas czuł się słabym, markotnym i złym. Podczas obiadu musiano zabijać ludzi, gdyż to sprawiało carowi apetyt. Kazał on sobie zrobić kij, z ostrym żelazem na końcu, którym podczas rozmowy opierał się na nodze tego, z kim mówił, i tak długo świdrował, dopóki nie przebił. Biada! jeżeli nie-szczęśliwy na jakikolwiek sposób okazał znaki bólesci.

Nagle, czy to rzeczywiście wskutek zgryzot sumienia, czy też może w napadzie szaleństwa, car składa

koronę i wstępuje do klasztoru, który sam zbudował. Tu zostaje opatem, a swych strzelców i oprawców, morderców i katów czyni mnichami. Rozpoczęła się teraz komedia, jakiej nie było ani przed tęp ani potem na całym świecie. Car sam rano dzwonił na nabożeństwo, następnie śpiewano, kazano, w ogóle odprawiano nabożeństwo, a car tak bił czołem o ziemię, że na czole miał sińce i krwawe znaki na czole. W południe nastąpiła uczta zakonna, gdzie tak opat jak i mnichy popili się jak niestworzenia, poczem wszyscy udali się tam, gdzie nieszczęśliwych więźniów torturowano, a kiedy car napatrzył się, jak jeńcy w torturach konwulsyjnie drgali, kiedy serce jego uradowało się łamaniem kości, rozlewem krwi i zamordowaniem kilku ludzi, natenczas wracał do klasztoru na wieczorne nabożeństwo.

W tym właśnie czasie dowiedział się car o zagnym mężu, *Filipie*, opacie klasztoru szalowieckiego. Był to mąż słynny tak z nauki, z prawości charakteru, jako też z bogobojnego życia. Iwan tedy wywyższa go z pominięciem innych dostojników na metropolitę. Filip jednakże nie chciał przyjąć godności, chyba pod tym warunkiem, że car rozpuści swych mnichów i strzelców. Jednakże odstąpił od swego warunku, spodziewając się, że swym wpływem potrafi z czasem tego samego dopiąć. Filip został metropolitą, car zaś, lubo nie porzucił opactwa, zaczął teraz mordować straszliwie wszystkich właścicieli i dostojników państwa, podając za przyczynę, że ci właśnie namawiali Filipa, aby się starał o rozpuszczenie strzelców. Niezliczone morderstwa, niezliczone pożogi działały się dziennie, a kraj cały stanął we krwi i płomieniach dla zaspokojenia namiętności własnego monarchy. Kraj cały drżał, truchlał, ale nie było nikogo, ktoby rzucił się na wściekłego zwierza i zarzucił uzdę szalonemu.

Wreszcie znalazł się mąż, który publicznie postanowił skarcić okrutnika, a był nim metropolita Filip. Kiedy dnia 22go Marca 1568 car-opat ze swymi mnichami — sam ubrany jak mnich — i ze zgrają służalczych, rozkiełzanych opryszków był przytomny nabożeństwu metropolity, przystąpił po skończonej mszy do ołtarza, żądając zwykłego błogosławieństwa. Metropolita jednakże milcząc stał spokojnie, wpatrując się tylko w krzyż wiszący na przeciwniej ścianie. Nastąpiła chwila ogólnego przerażenia; wreszcie rzekł jeden z bojarów otaczających cara: „ojcze! zdajesz się nie wiedzieć, że car przed tobą! Wznies więc i błogosław go!“ „Nie“ odrzekł stanowczo Filip, „w tym stroju i towarzystwie takich ludzi, nie uznaję go za wiernego cara, ani nie uznaję go w sprawach państwa. O panie! tu u stóp ołtarza składamy Bogu ofiary, a po za ołtarzem płynie krew niewinnych chrześcijan! Jak słońce na niebie, nie słyszano, aby prawowierni carowie własne swe państwo tak okrutnie niszczyli. Tatarzy, poganin i wszystkie narody mają prawo i sprawiedliwość, wszędzie istnieje słuszość i miłosierdzie; tylko nie w Rosyi. Wspomnij panie, że Bóg, który cię tu na tym świecie wywyższył, pociągnie cię do odpowiedzialności za rozlew krwi jaki sprawiłeś. Pamiętaj, że kamienie pod twymi nogami ukarzą, pozwą i osądzą cię.... To miałem ci z rozkazu Bożego do powiedzenia, chociażby i śmierć za to mnie oczekiwała!“

Orszak cara zdrętwiał, a i sam car zadrżał, przełknął się i stanął zdumiały. Niedługo jednak obudził się z przerażenia, wpadł w gniew szalony, uderzył owym historycznym koszturowym kijem o podłogę i krzyknął: „Dotychczas byłem dla ciebie, metropolito, i dla mego kraju za pobożnym, ale odtąd poznać mnie!“ Już nazajutrz rozpoczął rzeź straszliwą. Metropolity wprawdzie nie zabił, z jakiejś świętej bojaźni przed tak wielkim mężem, ale go kazał wtrącić do więzienia, w którym go po jakimś czasie z rozkazu cara uduszono. Dostojników zaś metropolity kazał bez wjątku wziąć najprzód na tortury, a potem nielitościwie zamordować.

Następnie ze zgrają oprawców zaczął przebiegać Rosyą wszérz i wzdłuż, mordując, kogo mu się podobało. Mianowicie srożył się nad majątniejszymi właścicielami, których majątek i żony z córkami zabierał, bądźto dla siebie, bądź też rozdzielał pomiędzy swych zauszników. Kobiety zaś, które mu się nie podobały, hańbiono w najobrzydliwszy sposób, a potem zabijano wśród najokropniejszych męczarni. Co więcej, nie przepuszczano nawet zwierzętom, psom, kotom, a nawet ryby w stawach kazał car niszczyć. Piękne miasto Nowgoród kazał bez przyczyny całkiem zburzyć, przyczym 2700 mężów zabito, nie licząc trupów niewieści i dzieci i nie licząc zgrozy, których się z nieszczęśliwymi dopuszczano niewiastami. Swego nawet własnego hetmana, Worotyńskiego, który niejednokrotnie był zwycięzcą, sam *własnoręcznie* przy wolnym upiekł ogniu, a syna jego cierniowym ubił prętem.

Zarzućmy wreszcie zasłonę na dzieje zapisane w historii carów rosyjskich, a zakończmy tęp, że Iwan wreszcie wskutek rozwoźności popadł w brzydką chorobę, która roku 1584 dnia 17 Marca uwolniła Rosyą od najokrutniejszego w świecie chrześcijańskim potworu.

Fr. Xaw. T.

Jan Michałowicz.

Już to taka w Polakach natura, że gdzie idzie o ich świętą chrześcijańską wiarę, zawsze są gotowi stanąć zbrojnie. Nie darmo też od wieków przy Mszy świętej podczas czytania ewangelii podnoszą miecz w górę na znak gotowości bronięcia wiary i Kościoła. Wiedzieli o tęp Turcy i Tatarzy, i napadając śmiało na Węgrów, na Niemców, tylko Polaków się bali, uznając w nich przedmurze zagradzające im drogę do dalszej Europy.

Już od kilku wieków Turcy zgrabili byli Konstantynopol, miasto piękne, ludne, położone na południu Europy nad brzegami Czarnego morza, wycieli mieszkańców i postracali krzyże ze wspaniałych chrześcijańskich kościołów. Zamilkło w nich Imię Jezusa, tylko bezbożne imię Turka, poganina Machometa, brzmiało do około.... Miecz i ogień były hasłem tych zaborców, ostrzących zęby i na dalsze posiadłości Europy. Bezbożność ich sięgała i po inne kościoły, trzymając w rękach gotowy półksiężyc, aby nim zastąpić godła prawdziwej wiary. Chrześcijanie bronili się jak mogli dzikiej, zjadłej, barbarzyńskiej hordzie, ale ich

oręż nieraz popadł roztrzaskany. Polska zbrojna w szkaplerze i godzinki swych niewiast, mieczem przepisywała prawa poszanowania pohanom, trzymając ich zdala od swoich granic. Wielu wodzów i królów naszych wstawiło się w tych utarczkach z Turczyzną. Wiśniowieccy, Żółkiewscy, Czarnieccy, Chodkiewicz, Sobiescy, zdobywali na poganach wieńce chwały, polane krwią własną i łzami wdzięczności współziomków. Ale że ojcom naszym nie tylko szło o całość swoich granic, lecz szczególnie o całość świętej wiary; więc nie przestawali na pokonaniu wroga u siebie, lecz biegli wszędzie, gdzie tylko rozległ się krzyk chrześcijan napadniętych przez niego. I tak: jeżeli Turek chciał wleźć do Europy przez Węgry, to Polacy zastępowali mu drogę. Jeżeli od Multan chciał wkroczyć, czynili toż samo. Jednego razu udało mu się przez Węgry podstąpić pod Wiedeń, stolicę państwa austriackiego, i z mnóstwem ludzi, koni, namiotów i broni, zaczął go oblegać. Już miał przepaść Wiedeń, a gdyby go byli poganie zdobyli, dopieroż ztamtąd cała dzicz rozlałaby się była po Europie, pustosząc wsie, miasta i kościoły. Trudno przewidzieć i wypowiedzieć wszystkie nieszczęścia, któreby ztąd dla chrześcijaństwa i ludzkości wyniknąć były mogły. Austria w tak okropnym położeniu wyciągnęła ręce do Polski, gdzie sływał król waleczny, największy owych czasów bohater, imieniem Jan III Sobieski.

Król na głos wołających chrześcijan zebrał wojsko i ruszył natychmiast pod Wiedeń. Zanim jeszcze hufce jego w porządnym szyku przybyły, wzmacniały już pojedyncze oddziały polskich ochotników, spieszących na obronę wiary, armią austriacką. Pomoc ta była gwałtownie potrzebną. Węzیر turecki: Kara Mustafa, oblegając miasto, przeciął wszelką jego styczność z wojskiem krajowem. Książę Lotaryngii z armią swoją stał za Dunajem. Wypadło więc dać mu znać jak najprędzej o położeniu stolicy, ale nikt nie śmiał się przedrzeć do jego obozu przez nieprzyjacielskie namioty.

Jeden z ochotników, przybyły z Polski, Jerzy Kulczycki, rodem z Sambora, pomyślał sobie:

— Król nasz naraza swe życie dla obrony sąsiadów, czemuż jabym go nie miał naśladować?

I stanął przed burmistrzem miasta Wiednia, oświadczając gotowość podjęcia się poselstwa do księcia Lotaryngii.

Wyobraźcie sobie radość burmistrza i mieszczan. Z okrzykiem przyjęto przedstawienie Kulczyckiego, powierając mu natychmiast ważne listy.

Jerzy wrócił do siebie, aby przywdziać jedno z tureckich ubrań, które mu nagotował służący jego, Jan Michałowicz, także Polak, urodzony w województwie Brzesko-Litewskim, we wsi Leśnie.

Jan widząc pana wkładającego turban na głowę, pomyślał sobie:

— Pan mój poświęca życie dla bliźnich, a jażbym go miał odstąpić?

I spojrzawszy na odzież turecką leżącą na ziemi.

— Złęć to bestyje, te Turki — pomyślał znowu po chwili — poćwiartują może, i człowiek już nie zobaczy ani Leśna, ani kościółka Najświętszej Panny, ani zazuli, co mi w lecie wykukała, że się za rok ożenię.

Dreszcz jakoś przeszedł po skórze służącego, a w głowie nowe myśli się snuły.

— Jednak to grzech odstąpić pana, co z człowiekiem chleb swój dzieli. Przeszłego roku chorowałem, a gdy się miał najgorzej, on całą noc przy mnie siedział. Pamiętam nawet, jak mówił: — Słuchaj Janie, tylko mi nie umrzyj, bobym strasznie płakał! Przecież z jednej wsi przyszliśmy tutaj, a matka jego, gdyśmy na wojnę odchodzili, mówiła mu: — Jerzy, niechaj Janowi nie braknie u ciebie ani chleba, ani odzieży, ani dobrego słowa.

Tak to, niebożczka pani, Panie święc nad jej duszą, upominała syna, do mnie zaś rzekła: — Nie lękam się o Jerzego, bo przy nim zawsze będzie poczciwy Michałowicz.

A tu dziś dopiero ujrzałaby z nieba, że jej syn z Turczyńcem sam się ubija, Michałowicz zaś sam nawet nie wie, co się z nim dzieje! Nie, nie, tak nie będzie! — dodał głośnie, nie zważając na obecność ubierającego się pana, który obrócił się zdziwiony i rzekł:

— Co tak nie będzie, Janie? O czém gwarzysz do siebie?

— Oto — przerwał służący — tak nie będzie, żeby pan sam przedzięrał się przez obóz nieprzyjacielski bez swojego sługi. Przecież ja się zdam może na co w drodze; przytém we dwóch zawsze jakoś rażniej.

Kulczycki wzruszony w głębi duszy, odradzał mu zrazu, przypominając jego rodzinne Leśno, powiatowy Brześć, starą matkę i Anulę, z którą się już był zaręczył. Widząc jednak jego stałość niezachwianą i szczere poświęcenie, uściśnął go w milczeniu i wskazał na tureckie suknie.

Zmrok coraz gęstszy zapadał, a o jedenastej godzinie wieczorem, piątego Siępnia, dwóch ludzi po turecku przebranych wymknęło się za bramy miasta. Burza huczała noc całą; wśród ulęwy i ciemności połyskiwały tylko ognie z obozu nieprzyjacielskiego, rozłożonego na wszystkie strony. Dwaj odważni wędrowcy weszli do tego obozu i przenocowali. Mrówie przechodziło Jana, ale pan jego znajomością tureckiego języka i tureckich zwyczajów ocalił sługę i siebie.

Nazajutrz wybrali się o świcie, a przebiegając winnice i lasy, zdążali ku górze zwaną Nowym Kalenbergiem albo Jozefsbergiem, zkąd uszedszy przed oddziałem wojska tureckiego, stanęli nad Dunajem.

Na małej wysepce widać było chrześcijan i łódź przeprawy. Kulczycki wzywał ich znakami, by się zbliżyli, lecz oni zobaczywszy turecki mundur dali ognia, sądząc, że strzelają do nieprzyjaciół. Wówczas Jerzy znakiem krzyża świętego przekonał ich o pochodzeniu swoim chrześcijańskim i zyskał pomoc. Szybka łódź przewiozła go wraz z wiernym sługą, dzielącym wszelkie niebezpieczeństwa, do obozu księcia lotaryńskiego, któremu wręczył listy. Książę przyjął go z niewypowiedzianą radością, a o dziesiątej godzinie wieczorem już w Wiedniu z wieży świętego Szczepana widziano rakietę, którą w obozie puszczono w powietrze na znak, że Kulczycki szczęśliwie przybył do wojska chrześcijańskiego.

Cieszono się niezmiernie w obleżonym mieście, a radość ta miała się jeszcze powiększyć za powrotem

Jerzego, bo książę dał mu listy do Więdnickich, w których obiecywał rychłą pomoc. Z radością największą śpieszył Jerzy z odpowiedzią do Więdnia, a gdy już był blisko kresu, mało co nie poległ od ręki nieprzyjacielskiej. Turczyn jakiś odkrył podstęp posła przesuwającego się przez obóz, i dosiadszy konia dopędził go niebawem. Jan zrozumiał niebezpieczeństwo swego pana, i zapomniawszy na chwilę o Leśnie, Brześciu, zazuli i Annie, rzucił się na pohańca, a Bóg dopomógł jego cięciu. Poganin spadł z konia, zostawiając zwycięzcy piękne siodło, miecz i strzemiona.

Kulczycki i Jan Michałowicz pełni chwały wrócili do miasta, które wkrótce za nadejściem króla prawdziwie tryumfowało. Kara Mustafa nie mógł się mierzyć z nadwiślańskim bohaterem, chociaż daleko większe od niego miał siły, i zbity wśród klątw pogańskich odstąpił miasta.

Wielka to była bitwa i wielkie zwycięstwo. Po bojowiska zaczerwieniły się od krwi nieprzyjaciół, która strumieniami płynęła; niezliczone trupy pogańskie leżały wszędzie, jak daleko okiem zajrzeć było można, ale i naszych poległo nie mało. Zginęli chwalebni śmiertelnicami, broniąc chrześcijaństwa w tej polskiej wojnie krzyżowej, która w całym świecie zawsze będzie pamiętną i połączyli męczeńską krew swoją z krwią owych bohaterów, co już dawno przedtem poginęli w wyprawach krzyżowych, podjętych w celu odzyskania Jerozolimy i innych miejsc świętych.

A co za łupy dostały się w ręce naszych! One namioty z złotą tkaniną, one konie z bogatymi rzędami i one chorągwie rozszarpane w ogniu wojennym. Broń piękna damasceńska wzbogaciła uzbrojenie każdego z żołnierzy. Niektóre z tych dywanów i chorągwi do dziś dnia znajdują się w katedrze krakowskiej i po innych kościołach; resztę wywieziono do obcych krajów.

Skoro król polski po skończonej wojnie wracał do kraju, wracało z nim i rycerstwo. Jerzy Kulczycki czczony przez wszystkich dla swojej wielkiej odwagi, pośpieszył także do swych miejsc rodzinnych. Właśnie zbliżała się już wiosna. W Leśnie, pięknej i zielonej wiosce, Anulka przy przedzeniu śpiewała same smutne piosenki, bo nie było jeszcze jej Jana. Aż naraz zapukał ktoś do drzwi jej chaty, i dziewczyna wykrzyknęła radośnie:

— Janek!

— Tak jest, Anuś, to ja! — powiedział dziarski chłopak — powróciłem i już się nie rozłączymy. Zazula dobrze wykukała, pobierzemy się tego roku!

Starzy i młodzi zbiegli się z całej wioski, aby oglądać Jana, byłego wędrowca, który opowiedziawszy im historią zabitego przez siebie Turczyka, złożył w kościółku Leśna na ofiarę Najświętszej Pannie zdobyty pałasz i strzemiona.

Wkrótce potem w tymże samym kościółku odbył się ślub Jana z Anną, których losem zajął się wdzięczny pan Jerzy Kulczycki. W tymże samym kościółku dotychczas pokazują pałasz i strzemiona, mówiąc:

— Oto są zdobycze wzięte na Turkach przez Jana Michałowicza, urodzonego w Leśnie. Nie odstąpił

on pana swego w żadnej złej przygodzie, i zostawiając wszystkim sługom piękny wzór wierności, wstał się zarazem mężem, jakim go jego poświęcenie dla pana natchnęło!

Pamiętniki Starego Żołnierza,

napisane przez

Białyniaka.

(Ciąg dalszy.)

Piosneczka dziewczyny morawskiej.

Każda ma milego,
Ja ne mam żadnego;
Każda ma mileho,
Ja ne mam nic;

Musim tak omhlewat'
Żywobit' prowadit';
Coż mam bidna dielat'
Moj mili przic!

Pod moim okenkiem
Trawiczka zeleni,
Pod moim okenkiem
Trawa rosti.

Hanzliczek jest młady,
Heski do porady;
Musim ho zaprosit
Ku mne w hosti.

Hanzliczku moj zlaty
Procz ty ne bohaty
Ja bych ti mou ruczku
Zaraz dała.

Bych moja mamiczka,
Taticzek, babiczka
Bych stobu ne mluwit'
Zakazala.

Nanenko ma gmila
Procz ty utratila
Zeleni wieneczek
S swojej hlavy?

Pro Boha gmileho
Co pak wam do teho
Ne szepce tak chramo
Mojej slawy.

Ja bych ti polibil,
W persten palec wslibil
Co bych ty mou ženou
Chtila byti;

Bych ma se kochali,
Hracko gmiłowali,
A zas až do smerti
S sebou żyli.

32. Czechy.

Aż też nakoniec zbliżył się czas, gdyśmy przyszli do miasteczka *Kaužym* (Kurzym), które niegdyś jako najpiękniejsze miasto Lech I, król Polski, założył. Licha to miasteczko, ale miała dawniej swój stary zamek, którego ruiny stały aż do naszych czasów. Tam już ostatnią mieliśmy wizytę „mit sak und pak“. Drugiego dnia ubraliśmy się w paradne mundury i jeszcze przed wschodem słońca wyszliśmy z Kurzymu, dla tego też wcześniej zaszliśmy do Pragi, bo nie było na drodze żadnej mustry. Naprzeciw nam wyjechali wszyscy generałowie, jako to: Polombini, Giula, Teleki, Watlet, Reszkour, Fleming i Katoliński, którzy natenczas byli w Pradze. Pułkownik kazał wstrzymać pochód dla zlustrowania pułku przez tych generałów. Po ukończonej lustracji w najpiękniejszej parady postępowaliśmy ku miastu, gdzie zaszliśmy na główny plac i tam stanęli przed kwaterą pułkownika. Po odprawionej modlitwie i odniesieniu chorągwi do jego kwatery, rozeszliśmy się po różnych ulicach, gdzie nas rozkwatowano. Nasz batalion stanął kwaterą na Podjebradzkim przedmieściu. Tam tedy mieliśmy odpoczynek trzy dni, bez żadnej wizyty i bez żadnej służby, gdyż pułkownik był bardzo zatrudnionym, ponieważ musiał zdawać sprawozdanie z odbytego marszu przed generałem Polombinim, który natenczas był tam komenderującym nad całym królestwem czeskim, pomimo że tam mie-

szał arcyksiążę Karól, brat cesarza Franciszka Igo, właściciel pułku ułanów, bo ten się nie chciał trudnić kominanturą; żył sobie spokojnie i swobodnie. Muszę tu nadmienić, że to było bardzo dobre księżę, kochany od całego wojska. Czasem przejeżdżał przez miasto, a zwłaszcza koło odwachu. Gdy żołnierz stojący na straży zawołał po raz drugi do broni, gdyż przed takim arcyksięciem zawsze się dwa razy woła do broni, to żołnierze prędko wybiegając z odwachu zawsze się w kilku musieli przewrócić na ziemię, niby to się potknęli z wielkiego pośpiechu. Natenczas arcyksiążę stawał przed odwachem i za tę skwapliwość zawsze dawał im po parę reńskich na wódkę. A to go najbardziej cieszyło, że go tak żołnierze lubią, że dla jego uszanowania śpieszą się do broni tak prędko, aż się przewracają.

W Pradze staliśmy prawie przez sześć tygodni; miałem więc dosyć czasu, by przejrzeć całe miasto i wszystkie jego najwspanialsze gmachy, tj. kościoły i pałace.

Praga zbudowaną jest nad rzeką Wletawą, czyli Mołdawą, przez którą prowadzi długi a piękny most zbudowany z kaplicą św. Jana Nepomucena, a ta stoi na tém miejscu, z którego go do wody wrzucono. Stare i nowe miasto stoi na prawym brzegu rzeki, a zaś na lewym brzegu rzeki stoi duże przedmieście, Hradczany zwane, gdzie jest na górze zamek królewski, w którym mieszkał tenże arcyksiążę Karól. — W całej Pradze liczono natenczas 120,000 mieszkańców, pomiędzy którymi mieści się 8000 żydów. Żydzi mają osobno wydział miasta i nie wolno im mieszkać z katolikami. Oprócz zamku, który jest bardzo wspaniały, a stoi na górze Hradczany, jest wiele innych dykasteryi. Praga liczy 46 kościołów, z których najpiękniejszy jest archikatedralny, gdzie spoczywają zwłoki św. Jana Nepomuka. Jest tam 9 synagóg żydowskich i szkółek kilka, gdzie się uczą małe żydzięta; 168 pięknych pałaców, co są własnością najpięwszych magnatów, a są wspaniale zbudowane; kilka pięknych ogrodów dla publicznej przechadzki; stolica arcybiskupa, uniwersytet i obserwatorium astronomiczne, trzy gimnazya, instytut głuchoniemych i ślepych, dom inwalidów, ogromny szpital dla chorych i ubogich, duży kryminał dla zbrodniarzy, garnizonssztochhaus, teatr bardzo wspaniały, a przytém różne fabryki i rękodzieła, handel bardzo ożywiony i kilka jarmarków do roku, żegluga na Mołdawie i spławy. Dla wojska są pobudowane koszary, których jest aż pięć, mianowicie dla grenadierów, dla artyleryi, dla infanteryi, czyli piechoty i dla kawaleryi. A nadto zbytne lub przechodzące wojsko częstokroć zmuszone bywa stać po kwatrach. To samo nas tu teraz spotkało.

W pierwszą zaraz Niedzielę po naszym przyjeździe do Pragi, kilku kadetów zebrało się razem, do których i ja należałem; wyszliśmy w miasto na przechadzkę, a było to koło 4tej godziny po południu. Słyszemy, że w pewnej besedzie gra muzyka, wchodzimy tam, trzeba było wykupić bilet, bo inaczej na salę tam nie wpuszczają; kilku z moich kolegów zaczęło tańczyć, później i ja nabrałem do tańca ochoty. Tak sobie się przechodzę po sali, szukając sobie tancerki, wybrałem najzławszą i najładniejszą z dziewcz. Zbliżam się tedy do niej i proszę ją w taniec, a ta mi odpowiada temi słowy:

— Jach pak sem już polouczena. — To się miało rozumieć, że już jest narzeczoną, czyli zaręczoną, tj. połączoną. — Rzekłem tedy do niej:

— To pak sem nic ne szkodi, oni mczęją ze mnou pojť tańcowati, dyż pak jach sem ne widim, kady jesti jejich mladenec.

— Oto widiejo, ho sedij a hra na balkone, diete do neho sprasit, kdy on wam zwoli, tenkrat swama pojdu.

Proszę raz, drugi i trzeci, lecz ona mi zawsze jedno i to samo odpowiada, że nie może, dopóki nie pójde na balkon i nie poproszę owego muzykanta, aby mi pozwolił potańczyć z swą narzeczoną. — Pomyślałem sobie: bierz cię tam lichy z twojim narzeczonym; kiedy nie chcesz to się bez ciebie obejdzie; jest daleko więcej ładnych dziewcz, nle pójdziesz ty, to pójdzie druga i odszedłem. Po drugiej stronie siedziała bardzo ładna brunetka w czarnej jedwabnej sukni, mając ładny szal na szyji. Ta widząc, że mi owa odmawia, wejrzała na mnie i rzekła: podte, pane kadetku, jach pojdu swama. Kiedym z nią raz i drugi przetańczył, prosiła mnie, abym z nią wyszedł na przechadzkę do ogrodu, by się ochłodzić. Widzę, że dziewczę ładne i pięknie ubrane, wstydić się za nią nie będę choćbym i na publiczne wyszedł z nią miejsce. Wyszliśmy tedy do ogrodu i pochoziliśmy po chodnikach. Potem usiedliśmy na drewnianej kanapie; ona mnie zaczęła wypytować zkąd ja? i com za rodak? z której jestem kompaniji i gdzie moja kwatera? że ję na tém wiele zależy. Opowiadałem ję wszystko rzetelnie, potem rzekła do mnie:

— Ne možu mne teho wzat' za neprezwoitost, że pak się jejich ptam o wszechno i kadi majou swou kwateru, dyż pak jejich chcu z mojou mamiczko zaznati, a zas jejich radi odwiedim a ne boudu teho żeliti. — Potem prosiła mnie, abym ją odprowadził do Praskiej bramy (Prochowa brama), a ona mi za to będzie bardzo wdzięczną. Zapytałem ję, kto są ję rodzice? — Odpowiedziała mi, że taticzek umrzel a mamiczka domu sedi we własnej kamenicy wele Praskiej bramy, kadi teprz pojdemo. — Zapytałem ję: kiedy matka ma własną kamienicę, czemuż ona uczęszcza sama i bez matki na publiczną muzykę, gdzie się schodzą rozmaite osoby?

— To pak sem nic ne szkodi, jach sem chodila odwedit mojou Tantku, zgednau mou przytelkau; odkud ma sę wratili, ona mne prasila, co bych wstupil' de pak tak ładne hrajon, tam my usedli; ona szla tańcowati a jach pak sediela, kak oni se nahodili, i poznałam jejich, że pak sut hodni a heski chlapec, hak sprasilam jejich ku tańcu.

Gdyśmy się zbliżali do bramy Prochowej, zaczęła mnie prosić, by ją opuścić, żeby ję matka nie widziała, że ona chodzi z wojakiem. Uczyniłem zadosyć ję i opuściłem ją, ale dałem baczenie, dokąd pójdzie. Właśnie tam weszła gdzie mi wskazywała, a ja odwróciłem się i poszedłem tam gdzie był i gdzie ją poznał. Jeszcze parę razy przetańczyliśmy, potem odeszliśmy do naszych kwater. (D. c. n.)

Szarada.

Pierwsze nazywasz kiedy coś podajesz,
Drugie i trzecie silném ostrzem krajiesz,
Czwarte zaś znajdziesz wśród zaimków grona,
Albo w tym pięknym wyrazie „obrona“.
Wszystko zaś razem świetne laury zbierał
Prowadził wojny, pokoje zawierał.

Rozwiązania Szarady z Nr. 189 „Oświaty“.

Po-mi-dy-ry.